

RECENZJA

PRACY DOKTORSKIEJ MGR IGI FRĄCKIEWICZ

PT. „IDEA, SŁOWO, METAFORA. WYOBRAŹNIA POLITYCZNA GRUPY LITERACKIEJ „SZTUKA I NARÓD” I RUCHU „ZADRUGA”

Przyjemności poznawcze lubią mieć swoją cenę, co potwierdza niemalym rozmiarem (400 stron) oraz analityczną gęstością rozprawa doktorska mgr Igi Frąckiewicz, poświęcona językom politycznym przedwojennego środowiska „Zadruga” oraz okupacyjnej grupy „Sztuki i Narodu”. W naszych czasach, gdy doktoraty nagminnie zjeżdżają już poniżej 200 stron, musi ona zwracać uwagę. Zwłaszcza, że to praca niebanalna, na wysokim poziomie, poznawczo odważna, a co więcej mocno rezonująca z mechanizmami, jakie obserwujemy od ładnych paru lat w debacie publicznej.

Autorka zaproponowała lekturę publicystyki politycznej i literackiej obu wymienionych tu grup, w centrum uwagi stawiając nacjonalistyczną wyobraźnię polityczną, ekstrahując ją z publikacji na łamach tych organów. Stając na gruncie kognitywistyki, a szczególnie George’a Lakoffa, a zatem badań ujawniających mechanizmy kreowania politycznego obrazu świata, które odbywa się – oprócz aplikacji bezpośrednich przekazów ideowych – poprzez różnorodne operacje metaforyczne, mające wsączać w czytelnika systemowy i złożony obraz podprogowy, zdolny go przekonać również na gruncie emocji do przyjęcia tego obrazu świata za jedynie słuszny i prawdziwy. Autorka zaznacza, że dla analizy mechanizmów tych zabiegów skuteczniejsze będzie wyjście poza kognitywistyczny „inwentarz” (skupiający się na oglądzie „punktowym”) ku analizom „sieciowym” czy systemowym. Jak sama więc deklaruje, chodzi jej „o zbadanie, jak projekt ideowy wypowiediany jest w szczególnym języku narracji politycznej, poprzez uchwycenie i opisanie jego „materializacji” metaforycznej oraz sposobu ekspresji doświadczenia politycznego na poziomie źródłowym, gdzie wewnętrzne doświadczenie ekspresji doświadczenia politycznego przeobraża się w językowy obraz”. Z tego założenia jasno wynika, że przedmiotem jej uwagi będą techniki perswazyjne z obszaru psychologii ekspresji i psychologii odbioru. Stąd zaś krok tylko do świadomych lub półświadomych oddziaływań na poziomie podświadomości. Są one udziałem zarówno autorów, jak i odbiorców, których ci pierwsi starają się obezwładnić poznawczo i psychologicznie treścią jak i formą swoich przekazów ideowych. Dotyczy to naturalnie obu formacji, ale w praktyce SiN-u miały one swój wyrazisty podkład artystyczny i jego językowe oprządkowanie. U podłoża politycznego dyskursu tej grupy odnajduje więc autorka zespół przebiegłych podpowierzchnowych operacji o charakterze fantazmatycznym, odwołujących się do sfery intensywnych uczuć negatywnych (odraza, obrzydzenie, wstręt) oraz pozytywnych (podziw, pragnienie, zachwyty). Nic dziwnego, że ją intrygują, bo są jakby półtajnym kodem ich manifestów, a każdy inteligentny czytelnik pragnie się dowiedzieć, co znajduje się pod powierzchnią przekazu. Mówiąc jeszcze inaczej, autorkę fascynuje klucz pozwalający zajrzeć za zasłonę sugestii, niedopowiedzeń i prowokacji, jakimi utkane są wypowiedzi programowe i publicystyka obu grup. Ze wskazaniem na „Sztukę i Naród”, bo tu poziom myślowego wyrafinowania był wyższy. W centrum

jej uwagi znajdują się więc „fantazmatyczno-skojarzeniowe odczucia, które tkwią u podłoża sposobu konstruowania dyskursu. Tak rozumiana kategoria wyobraźni politycznej [pozwala] ujrzeć proces formowania się języka konfliktu politycznego u samych podstaw, w sferze odczuć, a nawet wyobrażeń podświadomych” (s. 10). Ponieważ zaś mgr Frąckiewicz analizie poddaje dorobek grup skrajnie prawicowych (szczególnie „Zadruży”) jest jasne, że jej ambicją jest odsłonięcie przed nami całej palety perswazyjno-manipulacyjnych środków, jakimi posługuje się od dawna polska myśl prawicowa. Nie mam wątpliwości, że to jest istotny imperatyw i cel jej analiz. Jest to przedsięwzięcie, mające dać nam do ręki narzędzia identyfikacji technik manipulacji, z jakimi zderzamy się od lat na co dzień, nie zawsze mając świadomość jak długo są trenowane i jak dalece wyspecjalizowane.

Pozwolę sobie w tym miejscu na osobistą impresję. Dorobkiem twórczym grupy „Sztuki i Narodu” interesowałem się od lat studenckich, ale głównie na poziomie artystycznym i legendotwórczym, w niewielkim stopniu zwracając uwagę na treści polityczne, które wręcz opornie docierały do mojej świadomości, bo nie umiałem się z nimi identyfikować, więc sobie je przekłamywałem. Czytałem je po prostu jako niedowarzone wizje patriotycznie rozplomienionych młodzieńców, którym starsi koledzy nakładli do głów rozmaitych bzdur, utkanych z nierealistycznych marzeń o Polsce potężnej i zdobywczej. Dopiero później, z grubsza w epoce doktoratu, dotarł do mnie w pełni glacialny powiew doktryny politycznej, której z takim oddaniem, a nawet zaciętrzewieniem służyli, gotowi za nią oddać głowę. Co więcej, dopiero wtedy ujrzałem jak głęboko ta nacjonalistyczno-faszystowska ideologia jest wkorzeniona w całość ich dorobku – nawet w liryczne wiersze i piosenki. Jak sygnalizuje to w pewnym momencie *en passant* Frąckiewicz, nawet w rysunki. Czyli intencja polityczna przepaja tę twórczość systemowo - od góry do dołu. Co więcej, ta polityczna trucizna udaje, że nią wcale nie jest. Wręcz przeciwnie, wmawia czytelnikowi, że zawiera treści życiодajne, odżywcze i profilaktyczne, chroniące na przyszłość jednostkę oraz jej społeczność. Podczas gdy prawda była z gruntu inna – był to program z gruntu totalitarny, choć od totalizmu jego wyznawcy nieraz gromko się odżegnywali. Podobnie jak ich polityczni mocodawcy.

Zapewne z powodu tego ocknięcia się z idealizującego zaćmienia, a zarazem z chęci odrobienia tej przespanej lekcji, zrodziły się moje późniejsze prace poświęcone Gajcemu oraz jego grupie. Dlatego też ze szczególnym szacunkiem podchodzę do analitycznego przedsięwzięcia mgr Frąckiewicz, która – będąc w wieku, w jakim dopiero „budziłem się” z zaćmienia – zajęła się dokładnie tym, co w młodzieńczej lekturze SiN-owców wymykało się mojej uwadze, wręcz skrywało się przed nią. Nie przypadkiem, bo jak wykazuje autorka tej dysertacji, teksty Bojarskiego, Trzebińskiego i Gajcego celowo były tak pisane, by nie dało się ich złapać za rękę. Zapewne w pewnej części również dlatego, że ulegali szlachetnym iluzjom, więc przekonywali swych czytelników tak, by w ten sposób również samych siebie przekonać, bo jednak dręczyły ich spore wątpliwości.

Oczywiście gdańska autorka ma łatwiej, bo w czasach mojej młodości nie było jeszcze wielu – dziś „obowiązkowych” – publikacji, nicujących polityczne intencje SiN-owców, podobnie jak do kategorii rodzynek należały książki i artykuły historyczne, poświęcone ugrupowaniom prawicowym, zwłaszcza skrajnym. Ale i to zastrzeżenie nie zmienia wartości i odkrywczości tej pracy. Zwłaszcza w kontekście szeroko rozumianego dnia dzisiejszego. Od co najmniej dekady lub dwóch znajdujemy się bowiem w polu działania prawicowych (nieraz skrajnie) języków, które są wciąż wzbogacane, więc na żywym organizmie społecznym widzimy jak silne są ich własności toksyczne i jak dalece mogą sparaliżować zdrowy rozum.

Nie przypadkiem obie strony głębokiego politycznego konfliktu, w jakim żyjemy, mówią o swoich przeciwnikach rzeczy skrajnie dyskredytujące, twierdząc, że „mają przeprane mózgi”, „utracili rozum” lub są „niepełnosprawni intelektualnie” (albo moralnie). To wszystko dokonało się za pośrednictwem słów, które niosły na swych „barkach” nie tylko programy, ale przede wszystkim emocje. A to właśnie obszar, który intryguje mgr Frąckiewicz szczególnie: jakimi środkami oddziałuje się na politycznych sprzymierzeńców i przeciwników, jak się ich pozyskuje lub strąca w niebyt pogardy, jakie struny i w jaki sposób potraça się w ich duszach, by dali się przekonać i poprowadzić (niczym ślepe, ale nienawistne stado) do urojonego raj. Którym, jak już wiemy, jest na ogół społeczne piekło. Ta prawidłowość jest równie prawdziwa zresztą w wypadku skrajnego dyskursu prawicowego, jak i lewicowego, bo pierwszy urodził faszyzm, drugi komunizm. Oba z jak najstraszniejszymi w historii skutkami. Jest więc aż nadto powodów, by uznać analizę mgr Frąckiewicz za ważną i bogatą we wnioski.

O twórczości kręgu „Sztuki i Narodu” wiemy dość dużo, bo jej polegli w młodzieńczym wieku redaktorzy znakomicie wpisali się w legendę pokolenia Kolumbów. Badacze i krytycy chętnie więc odwoływali się do ich utworów, a nawet publicystyki, choć przez kilka dziesięcioleci sterylizowali ją z treści politycznych, uważając, że istotniejsze jest ocalenie ich dorobku. Jedni z nich traktowali to jako szlachetną misję, inni zapewne robili to z politycznym wyrachowaniem (np. środowisko PAX-u). Przedstawiona do oceny praca doktorska mgr Frąckiewicz jest cenna również dlatego, że pokazuje właśnie to, co tak długo „przykrywano” jakoby w dobrych celach. Jej celem było ujawnienie jak głęboko w publicystyce SiN-u tkwią i jak sprytnie emitowane były intencje polityczne, związane z chęcią aplikacji skrajnie nacjonalistycznego modelu społeczeństwa i kultury.

W przeciwieństwie do strategii stosowanej przez krąg „Zadrugi”, na łamach „SiN-u” – pisze autorka – mamy do czynienia z „dużo bardziej złożonym, wszechstronnym projektem redakcyjnym o imponujących rozmachu ideowym i [...] o wyrazistych ambicjach artystycznych” (s. 19) wsączanych w czytelnika nie tylko w artykułach politycznych, ale również w lirykach, nowelach, recenzjach, przeglądach literackich, manifestach, wreszcie w dyskusjach z innymi ideowo środowiskami (toczonych również na żywo, podczas konspiracyjnych spotkań literackich). A ponieważ to, co pisali i mówili, było skierowane do odbiorcy wymagającego i wykształconego, ich oferta miała wszelkie pozory oferty otwartej na światopoglądowy spór. To powodowało, że mogli operować na „salonach” podziemnego życia umysłowego, a nie na skrajnych peryferiach, jak przedwojenna „Zadruga”.

Rekonstruując strategię publicystyczne „SiN-u”, autorka rozpoczyna od wyodrębnienia centralnej dla niej opozycji siła – słabość (czyli energia młodej formacji pokoleniowej przeciwko bierności zużytych „panów intelektualistów”), która organizowała zarówno treści ich artykułów, jak i stanowiła element językowej strategii akcentowania własnej energii i witalności. Pokazując konkretne jej zastosowania, Frąckiewicz dowodzi, że były to słowa-klucze o niskiej znaczeniowości praktycznej, ale jako sygnały dynamizmu młodej formacji prawicowej i jej gotowości do przejęcia odpowiedzialności za kraj z rąk niezdolnych do czynu „starych” nieźle spełniały swoją funkcję, podpierane całą konstelacją podobnych „energetyzujących” słów stowarzyszonych. Nie bardzo jednak rozumiem w tej partii tekstu kategorii „słów-tąpnięć”, bo przecież jednak autorce chodzi tak naprawdę o pojęcia emocjonalnie „wypiętrzające”, wmawiające czytelnikom, że niosą za sobą światopogląd zdobywczy, pobudzający do realnych działań, mogących zmienić rozpaczliwą sytuację rodaków. Jednym z nich jest np. słowo „idea”, nieustannie odmieniane przez wszystkie przypadki w tekstach SiN-owców, a przecież – jak dowodzi słusznie Frąckiewicz – w

rzeczywistości puste, a co gorzej zwodnicze, bo ukrywa (mniej lub bardziej uświadomiane) intencje totalistyczne. Tak jak na przykład w koronnej dla Konfederacji Narodu koncepcji uniwersalizmu, lansowanej przez o. Warszawskiego, kapłana i ideologa tej organizacji, głoszącej ideologię rzekomego „środka” pomiędzy narodową wspólnotowością, siłą i jej socjotechnicznymi aplikacjami (tzw. dobra siła) a jednostkowością, dobrocią i społecznym ewangelizmem. Czyli tak naprawdę chodziło o znaczeniowe „pompowanie” potencjału tych kluczowych dla nich pojęć (np. czyn, walka, odwaga itp.) oraz maskowanie czających się pod nimi intencji. To samo dotyczy też w pewnej mierze odwołań do Boga, omawianych w kolejnym podrozdziale, którego obraz staje się dla młodych ideologów narzędziem ideowego oddziaływania np. podnoszeniem rangi ich „zbawicielskich” intencji. Dla nich ważny był nie Chrystus ukrzyżowany i cierpiący, ale właśnie tryumfator, Salvator Mundi. Bo symbolizował ducha walki, zabijania i podporządkowywania „słabych” jednostek silnemu organizmowi politycznemu. Dla Trzebińskiego był nawet wzorem odporności na ból i męskości. To zresztą stanowiło jeden z elementów strategii wyposażania chrześcijaństwa (w wizji uniwersalizmu o. Warszawskiego) w zdobywczość i siłę.

Po wyodrębnieniu i opisie tej zasadniczej dla SiN-owskiej publicystyki osi napięć autorka wyprowadza wynikające z nich trzy podstawowe strategie: energetyzujące, dyskredytujące oraz taktyczne. Stanowią one trzy główne podrozdziały tej części pracy. Przyznam, że świadomie nie skorzystałem z tytułów autorki, bo moim zdaniem nie są one zbyt adekwatne do zawartości, nie respektują zasady homogeniczności podziału, a wreszcie łączą ze sobą niezbyt styczne wątki, sprawy i tematy (np. „Postawa antymagnetyczna” nie zawiera żadnych wątków ikoniczno-somatycznych, podobnie zresztą jak „Praca jako uprawa”).

Rzućmy (okiem autorki) na model pierwszy czyli techniki energetyzujące. Trafnie diagnozuje ona apodyktyczność i kategoryczność języka młodych redaktorów, co uznaje za skutek dramatycznej sytuacji historycznej, a przy tym przenikliwie dostrzega automotywacyjny charakter ich twardego języka oraz jego impresywne funkcje. Bo wszak nie można agitować za heroizmem i nawoływać do poświęceń przy pomocy środków nieprzekonujących i mdłych. Oni naprawdę uważali, że energią swoich wierszy i manifestów mogą budzić do oporu i działania społeczeństwo pogrążone w szoku klęski. I jak trafnie wykazuje Frąckiewicz, robili to z przekonaniem i pasją, bo wiedzieli dobrze, że przy tej skali eksterminacji nie będą mieli zbyt wiele czasu ani miejsca na luksus cyzelatorstwa. Poza tym, by być dostrzeżonym na szczupłym rynku okupacyjnej kultury należało się „rozepchnąć”, uderzyć pięścią w stół, a zatem zdecydowanie wyodrębnić się pośród konkurentów do wojennego wawrzynu. Stąd tak częste figury samotnego trwania na „placówce” i strofowania „zasłaniających oczy” i błakających się (ich zdaniem) w chmurach słabeuszy. Oni chcieli się różnić i wiele robili, by to zrobić. Nie gardzili nawet agresją – zarówno w swoich tekstach, jak i podczas konspiracyjnych odczytów, czego nawet długowieczni olimpijczycy, tacy jak Miłosz, nie zapomnieli im do końca życia. Ta bojowa postawa i skorelowany z nią język jest łatwo widoczna w ich napaściach na najważniejszych pisarzy i środowiska twórcze Dwudziestolecia. Ta wpisana w język ostrość i bezpardonowość, w myśl zasady korelacji „słowa” i „czynu”, stanowiła rodzaj dopingu psychicznego, zaaplikowanego sobie samym, by odzębnić słabość i lęk (Trzebiński: „ciepło zabija twórcę”). Wszystko to Frąckiewicz opisuje z wyczuciem i dystansem.

Gdy się stoi samotnie na literackim przedmurzu, poczucie izolacji się wzmacnia, a gorzkie skazania na „krótki los w płomieniu” każe identyfikować winnych narodowej katastrofy. Są nimi oczywiście liberalizm, demokracja i odwieczna polska słabość, co jest starą nutą polskich nacjonalistów. Oszczędzili nam co prawda SiN-owcy oskarżeń o „żydowską zdradę”, ale jednak w tej sprawie

nie mieli rąk czystych, co ujawniały seryjne ataki na pisarzy o korzeniach żydowskich. „Fantazmatyczne obrazy ciosów, zdrad, ataków i wzniosłej izolacji stymulowały energię sinowskiego dyskursu” – pisze Frąckiewicz, pokazując konsekwencję młodych autorów w atakach na czołowych artystów lat międzywojennych, którym zarzucali brak patriotyzmu, niezdolność do pielęgnowania kultu narodu i diagnostyczną ślepotę.

Chcąc zachować niezłomność, trzeba było naturalnie mocno wierzyć w siebie i swoją gwiazdę, zwłaszcza że KN była partią wodzowską (ze swoim Komendantem, ideowymi adiutantami oraz promiennym kapelanem). Wbrew tytułowi podrozdziału „Energetyzujący mistrzowie”, autorka niewiele uwagi poświęca temu, kim byli dla SiN-owców Piasecki, Pietrzak czy o. Warszawski (i pewnie szkoda) i co z nich wyszali, bo bardziej interesuje ją w tym podrozdziale proces dorastania niektórych z nich (Bojarski, Trzebiński) do ról i uzurpacji przywódczych, nawet pewne przymiarki do tóg wychowawców narodu. Bo nietrudno odgadnąć, że rolę tę – ich zdaniem – powinni pełnić artyści, którzy swoimi dziełami formowaliby duchowo naród tak, żeby każda jednostka umiała i chciała z własnej woli zająć przypisane jej przez „wychowawców” miejsce i funkcję. Snuli nawet koncepcje regulacji relacji między twórcami a państwem. Jakkolwiek by jednak nie mącili czytelnikom w głowach, zawsze w końcu wychodziło im, podobnie jak ich politycznym mocodawcom z KN, że przeznaczeniem pisarzy jest misja artystów narodowych. Oczywiście żaden z nich nie zapomniał o obłudnych gwarancjach, że w tym narodowym państwie pozostaną oni artystycznie wolni. Czy w to sami uwierzyli, bo byli zacządzeni doktryną KN, czy nauczyli się już politycznego cynizmu w przekonaniu, że „głupi naród to wszystko kupi”, nie jest sprawą możliwą do rozstrzygnięcia.

Jest jednak sprawą pewną, że w Imperium Słowiańskie wierzyli, bo była to wizja wyobraźniowo potężna i maksymalistyczna (choć kompletnie nierealistyczna), co odpowiadało ich rozдутym ego. By wyrazić aspiracje do tego, co wielkie, rozżarzali więc fantazmaty wrzenia, żywiołu ognia i wulkanicznych erupcji. Od tego typu skojarzeń wręcz roi się w ich tekstach, co miało na pewno swój jasny cel: olśnienia i porażenia wyobraźni odbiorcy (a przy okazji swoista autopromocja). Frąckiewicz w tej części pracy, jak i w innych, uparcie i zasadnie wskazuje na podgrzaną do maksimum temperaturę tych środków ekspresji, a zarazem wskazuje, że osłaniała ona oślepiającym blaskiem epitetów i metafor brak konkretów, które „ukrywały się za [...] zasłoną „ognistej” fantasmagorii – chodziło o zbudowanie narodowego państwa autorytarnego i podporządkowania narodów słowiańskich [...] Warszawie” (s. 104). A jak nie bez złośliwości dodaje autorka, budowały miraż środowiska aspirującego do pokonania obu okupantów naraz, podczas gdy jego praktyczne możliwości ograniczały się do kampanii na papierze i wysyłania młodzieży KN do lasów, skąd wracały tylko niedobitki. W skrócie można powiedzieć, że cała ta partia rozważań autorki poświęcona jest właśnie tym „papierowym” sposobom wytwarzania pozorów duchowej mocy tego politycznego środowiska. Dlatego zasadnie wskazuje ona również na mesjanistyczne korzenie tego proceduru, od którego (jak wiemy) SiN się gromko odżegnywał.

Ostatni podrozdział tej części pracy mgr Frąckiewicz poświęca opisowi „energetyzującego fantazmatu” młodej prawicowej młodzieży, przeciwstawionego obrazom rozmamłanych inteligentów, żyjących majakami międzywojnia, wybierających postawę przetrwania za wszelką cenę, co oznacza bezczynność. Rzecz jasna, wynika z tego oczywista afirmacja działania i walki. Autorka te romantyczne apele traktuje chłodno (w przeciwieństwie do niezliczonych autorów piszących przed nią o pisarzach tego kręgu), kilka razy podkreślając, że są one składową szerszej operacji o charakterze językowo-psychologicznym. Bezlitośnie podkreśla, że na papierze świetnie brzmią te wszystkie apele o heroizm w „wykuwaniu duszy” i zapewnienia o dobroćliwości

KN-owskiej „siły”, przypominając, że nigdzie w tej publicystyce nie znajdziemy nawet cienia konfederackiej pałki czy kastetu, pistoletu czy wykonywania podziemnego wyroku. A przecież w jakiś konkretny sposób ta siła powinna się przejawiać.

Kolejny spory rozdział pracy, zatytułowany „Ikoniczno-somatyczna materializacja światopoglądu. Idiosynkrazje i inkarnacje”, został poświęcony tym technikom językowego oddziaływania, które odwoływały się do zmysłów (słuch, wzrok, powonienie) i budowały nastawienia pozytywne (np. do własnego programu i twórczości) lub negatywne (dyskredytacje przeciwników politycznych). Różnią się one pewnym wyrafinowaniem i językowa kulturą od tych sposobów, którymi posługiwały się inne radykalne organizacje prawicowe (np. „Zadruga”). Jeśli jednak przyjrzeć się im chłodnym okiem autorki, musimy przyznać, że były to też metody brutalne i nieraz mało eleganckie. Jako pierwsze w tym przeglądzie pojawiają się tutaj analizy abiektalnej pomysłowości SiN-owców w dyskredytacji polskiego klerka (to synekdocha ich stosunku do demokracji, inteligencji oraz zasymilowanych Żydów), przybierającego w ich tekstach nieodmiennie postać zgrzybiałego i odrażającego starca. Kolejnym ogniwem tego przeglądu (niezbyt funkcjonalnie spojenym z poprzednim) są rozważania autorki o tekstach, w których Bojarski i Trzebiński próbowali „rozmagnesować” opozycję pomiędzy wrogim im liberalizmem a nieuchronną dyktaturą (innego wyboru w ogóle nie zakładali), która wyłaniała się z ich programu w postaci rzekomego rozwiązania, jakim była obietnica „trzeciej drogi”.

Kolejny podrozdział przynosi analizę obrazowo-językowych metod lansowania na łamach „SiN-u” tegoż właśnie rozwiązania czyli uniwersalizmu (kojarzonego nieustannie z żyznym, życiodajnym polem), ordynowanego jako lek na przekleństwa totalizmu i demoliberalizmu (ukazywanych stale jako ziemie jałowe i piaski). Kolejny podrozdział, pt. „Muzeum, skamielina, grób”, przynosi z kolei metaforyczny obraz propozycji rywali młodej redakcji, które jasno i dobitnie wartościuje ten tytuł. Jest on oczywistym antybiegunem metaforyzacji agrarnych z poprzedniego podrozdziału, stąd skojarzenia autorów biegną do obiektów martwych, obumarłych, funkcjonujących na prawach reliktu. Mówiąc zwięźle, mieszczą one w sobie praktycznie wszystkie formacje artystyczne Dwudziestolecia, a życie czyli rozwój – jak wszyscy wiemy – jest tylko możliwy na bazie płodnej gleby młodości.

Nie były to wszystko pomysły specjalnie nowe na gruncie tradycji literackich walk pokoleniowych, co byłoby dobrze tu i ówdzie w tej pracy zaznaczać, bo może powstać wrażenie, jakby te wszystkie strategie metaforyzacyjne urodziły się w głowach redaktorów „SiN”, a nikomu wcześniej nie przychodziły do głowy. To samo zresztą dotyczy też ostatniej części poświęconej publicystyce tej grupy, zatytułowanej „Ataki wyprzedzające”. Kiedy dochodzi do walki, zarówno pokoleniowej, jak i światopoglądowej, trzeba słyszeć, co mówią przeciwnicy, a zarazem być gotowym na ich zarzuty. Pod tym względem SiN-owcy prezentują się autorce pracy jako mimozy przywdziane w maski twardzieli, bo w każdej chwili byli gotowi stanąć na ubitej ziemi, ale jednocześnie nieprzychylnie im sądy odnotowywali z uwagą i przetrawiali je tygodniami niczym pyton antylopę, co dowodzi, że ich wyjątkowo bolały, bo nie byli aż tak hartowni, jak sobie to wmawiali. To przeczulenie nakazywało im przeprowadzać ataki wyprzedzające, opisywane przez mgr Frąckiewicz w podrozdziale pt. „Dyskredytacja, ucięcie i „klerkowskie Nemezis”. Fantazmatyczne superego”. Pierwsze dwie techniki są jasne, wypada za to wyjaśnić kwestię, jaką funkcję tu pełni bogini zemsty. W ten sposób autorka określa kompleks lub prześladowczą obsesję młodej redakcji, która z wyjątkową namiętnością atakowała wspomnianych już „panów inteligentów” czyli starszych od siebie pisarzy, których

rangę tak naprawdę doceniali, ale agresywnie kwestionowali ich poglądy z powodów politycznych (oni z kolei uważali ich za rodzimych faszystów). Można odnieść wrażenie, że w ten sposób również egzorcyzmowali z siebie brak charakteru i przewrażliwienie, które tak obsesyjnie przypisywali swoim przeciwnikom. Jak pisze Frąckiewicz, „Miłoszowie” czy „Irzykowscy” byli dla nich „złowrogo szepczącą zmorą, która nie dawała się odpędzić”. Ten właśnie mechanizm nazywa ona (rozpychającym się niepotrzebnie w jej tytule) „fantazmatycznym superego”, ukazując jego praktyczne, najbardziej typowe objawy.

Jej rozważania w tej ostatniej części, poświęconej „SiN-owi”, zamykają rozważania nad gęsto rozszanymi w jego publicystyce „kontrdefinicjami wolności”, jak określa wyjątkowo perfidną technikę wmawiania czytelnikom, że doktryna polityczna, która wyłania się z ich tekstów programowych, jest czymś innym niż się odbiorcom wydaje, a zatem nie zarysem ponurej brunatnej dyktatury i literatury na jej usługach, ale promienną wizją państwa, którego aparat bezpieczeństwa „ma na celu troskliwość w obawie o wolność innych jednostek”. Obłuda tych operacji jest oczywista, ale pisali te teksty ludzie utalentowani, którym nie chodziło o straszenie rodaków, ale zyskanie ich przychylności i zaufania, więc wykazywali wiele pomysłowości we wmawianiu im, że ich piękne, naładowane energią i wiarą w przyszłość słowa są tym samym, co świat, który obiecują. Oczywiście każdy, kto przeżył jakąś część życia w rzeczywistości totalitarnej czy nawet semidyktatorialnej, doskonale wie, jak dalece owe słowa mogą się z nią rozmiąć albo ją wręcz „przykrywać”. Publicystyka „Sztuki i Narodu”, widziana oczami Frąckiewicz, to właśnie obszar takich – cynicznych niestety – falsyfikacji czy manipulacji, wpierających odbiorcom, że liberalna demokracja to synonim „wolności całkowicie fałszywej, złej, brudnej, nieodpowiedzialnej, chaotycznej, samolubnej i podłej, sprzecznej z podstawowymi prawdami „żywego życia” i wolnością prawdziwą” (s. 176), natomiast uniwersalizm (czyli przeliftingowany ONR-owski faszyzm) to przepustka do krainy stabilności, bezpieczeństwa i potęgi, w której artyści będą mogli się pławić w wolności twórczej (o ile nie będzie to sprzeczne z racją stanu). To bardzo gorzki zresztą finał rozważań autorki, której te wszystkie operacje myślowe nieprzypadkowo kojarzą się z Orwellem. Gorzki, bo wszak docenia ona (i co jakiś czas to uparcie podkreśla) literackie umiejętności SiN-owców i ich intelektualną sprawność. A ustalenie, że wyjątkowy talent został użyty do celów niecznych, by nie rzec podłych, może być rodzajem duchowego cierpienia. Wszak mogli pisać tylko piękne wiersze, dramaty lub prozę. Nie jest więc rzeczą przyjemną zdemaskować grupę swoich twórczych i dzielnych młodych bohaterów, którzy oddali swe życie ojczyźnie (niektórzy z nich w sposób autentycznie bohaterski) jako mistyfikatorów i groźnych demagogów.

W tym miejscu wypada już zakończyć tę przydługą rekapitulację pierwszej części pracy, poświęconej imaginacyjno-ideowym strukturom w publicystyce „Sztuki i Narodu”, by przejść do części drugiej. Jako punkt odniesienia autorka wybrała specyficzny pod wieloma względami dorobek radykalnie prawicowej formacji „Zadrugi”, która funkcjonowała w latach 1937-1939, poza głównym nurtem myśli nacjonalistycznej, a co więcej stanowiła jej formę graniczną ze względu na konsekwentny antykatolicyzm. To chyba jedyny podobny przypadek w dziejach prawicy. Trudno szczerze mówiąc zrozumieć, po co stawiać obok siebie propozycje tak odległe jak „SiN” i „Zadruga”, gdy katalog niepodobieństw jest długi jak dzień bez jedzenia, ale mgr Frąckiewicz założyła właśnie, że najlepsze wyniki uzyska stawiając na środowisko, które dla SiN-u nie było żadnym punktem odniesienia ani inspiracji. Dziwny to pomysł. Jak go uzasadniła? Po pierwsze tym, że potrzebny jej był drugi organ, posługujący się zbliżonym rodzajem wyobraźni politycznej, po drugie tym, że środowisko „Zadrugi” nie miało aspiracji i talentów artystycznych, po trzecie krótkotrwałością funkcjonowania obu grup (w obu

przypadkach ok 2 lat). Nie ukrywam, że te argumenty uważam za mało zasadne, a nawet niezbyt logiczne. Po co wybierać coś odległego i niepodobnego, obcego duszom SiN-owców, skoro istniały czasopisma im bliskie? Czy nie lepszą decyzją byłby wybór np. „Falangi”, która posługiwała się zbliżonym rodzajem wyobraźni politycznej? Powrócę do tej kwestii później.

Antykatolicyzm „Zadrugi”, absolutnie konsekwentny i radykalny, był ewenementem na mapie polskich formacji prawicowych i stawiał ją na ich marginesie. Co gorzej, ich program był intelektualnie mało wyrafinowany, bo opierał się na przekonaniu, że chrześcijaństwo było przekleństwem Polski, tak samo jak wielowiekowa obecność Żydów, którzy przesączyli ją (a zatem i całą polską kulturę) swoim mesjanizmem, cynizmem, gnuśnością, cwaniactwem i wszystkimi grzechami głównymi, jakie z łatwością wymieni każdy antysemita. Według Stachniuka, lidera tej grupy, stworzyło to mieszanekę trującą i rozkładową zarazem, która przez kilka wieków (proces ten zaczął się – jego zdaniem – jakoby już w XVI w.) napędzała proces duchowej sterylizacji narodu polskiego, który stracił wolę życia, instynkt walki, zdobywczości i stał się modelową ofiarą w centrum Europy. Dlaczego tak się stało? Bo odcięto mu starosłowiańskie zadrużne korzenie, a katolicyzm i judaizm wszczepiły mu bierność, mesjanistyczną apatię, niezdolność do wielkich projektów, potrzebę zaspokajania się byle czym. A więc w sensie kulturowym i politycznym Polska stała się impotentem. Tylko odrzucenie tego bagażu, którego jądrem jest katolicyzm – przekonują zadrużanie – jest w stanie obudzić uspiętego ducha słowiańszczyzny, a wraz z nim rodzimą kulturę, gospodarkę, politykę, a nawet dietę.

Można powiedzieć, idąc za narracją Frąckiewicz, że mamy do czynienia z konstruktem myślowo prostym, by nie powiedzieć prostackim, ale siła i przekonanie, z jakim był on aplikowany czytelnikom, jest już jakością, nad którą warto się (jej zdaniem) zastanowić. Ponieważ cała ta koncepcja z jednej strony tonęła w mrokach zmityzowanej prehistorii, a z drugiej zdemonizowanego obrazu polskiego społeczeństwa, zadrużanie musieli silnie aktywizować wyobraźnię polityczną, rozwijając serię typowych dla nacjonalistów propagandowych chwytów i ujęć, które wyodrębnia i omawia autorka. Najpierw w części „Czasopismo teorii i syntez” ukazuje ona rasistowskie przekonania zadrużan o absolutnej odmienności genotypu Polaka na rasowej mapie świata. Potem omawia kuriozalną teorię o zgubnym wielowiekowym wpływie katolicyzmu na nasz naród, który jakoby dno swojego upadku osiągnął w czasach saskich, potem przez półtora wieku nieco „odetchnął” pod jarzmem zaborców (to szczególnie zabawna teza), by w 1918 r. zaczerpnąć nagle powietrza... ale niestety, ujawniła się tzw. „recydywa saska”. Uduszony więc na nowo przez katolicyzm naród znów został wpędzony w stan wegetacji, a co za tym idzie skazany na uwiąd i przyspieszone starzenie się. Tę diagnozę zadrużanie obficie i z energią eksponowali przy pomocy rozbudowanego geriatrycznego imaginarium, a od czasu do czasu okraszali je wątkami skatologicznymi, co miało wywołać w czytelnikach odczucia obrzydzenia czy wstrętu.

Ta operacja językowej medykalizacji stanu polskiego społeczeństwa lat 30. miała niezwykle szerokie rozgałęzienia, co szczegółowo i trafnie pokazuje Frąckiewicz w długim rozdziale „Zadrużna interna – postawienie diagnozy”. A więc mamy tu dyskredytujące redukcje metaforyczne, polegające na ukazywaniu Polaków jako karłów, a katolicyzmu oraz jego wyznawców jako rodzaj „chińskiego buta” czy niewolniczej klatki blokującej naturalny rozwój organizmu (zob. obraz zbrodniczych *comprachicos* w „Człowieku śmiechu” Hugo). Ofiarą tej katolickiej mafii stał się, zdaniem Stachniuka, nawet sam Roman Dmowski. Równie sugestywnie doktorantka opisuje kolejne techniki dyskredytacyjne „Zadrugi”: diagnozowanie stanu duchowego narodu jako rodzaju ciężkiej sklerozy, a nawet gangreny (jej personifikacją byli naturalnie Żydzi), którą należało wyleczyć na

drodze zdecydowanych amputacji, ponieważ tylko tak można powrócić do świata wartości mitycznego „archaicznego Eldorado Suewów” czyli krainy pierwotnych Słowian, których świat został doszczętnie zniszczony w wyniku „skatoliczenia” i „zażydzenia” (243). Wszystkie te abuzalne (ulubione słowo doktorantki, które już drugi raz od niej pożyczam) popisy „Zadrugi”, okraszane były gęsto słownymi i obrazowymi wycieczkami w świat skatologii, wenerologii i parazytologii, co nadawało im sporą sugestywność. Młoda autorka rekonstruuje te chwytły szczegółowo i detalicznie, a czytelnika siłą rzeczy przelatuje dreszcz, bo uświadamia sobie, że to rekwizytorium leksykalno-metaforyzacyjne zostało u nas reanimowane w ostatniej dekadzie.

Szczególne jest przy tym to, że zadrużanie potrafili tymi samymi fekaliami obrzucić zarówno katolików, jak i Żydów (stworzyli nawet pojęcie „żydokatolicyzmu”), co w kraju takim jak nasz jest niebywałą sztuką. „Zażydzenie” podobnie jak „skatoliczenie” to w językowej wyobraźni politycznej ideologów tego środowiska pojęcia podstawowe, wręcz alegorie najgorszego zła, nie wahali się więc, by z całą siłą językowej wytwórczości włączyć je do swego imaginarium wstrętu i pogardy.

Po tym opisie operacji językowych spod znaku zadrużnej „interny” nie następuje, jak by się czytelnik mógł spodziewać rozdział „Medyczne drogi reform: skalpel, pallium i embrion”, a po nim logicznie „W gabinecie psychiatry”, ale rozłamujący ten medyczny porządek podrozdział pt. „Prasłowiański trans fantazmatyczny” (265-307), ukazujący ewokowaną już przez samą nazwę ruchu, wyimaginowaną, baśniową krainę, zamieszkałą przez rośliwych i silnych (aż się wciska pod klawiaturę słowo „aryjskich”) Prasłowian, którzy jakoby zamieszkiwali krainy nad Wisłą i Wartą, zanim po wiekach trucicielskich zabiegów „negrosemickich włóczęgów”, wykształciła się rasa tchórzliwych trzebieńców, mieniących się Polakami. Tego typu wizja, typowa dla formacji faszystowskich, automatycznie ustanawiała opozycję, w której po jednej stronie znajdowały się baśniowe opisy mężnych rodów wojowników, gotowych rzucić swe życie na stos, a z drugiej bezwolnych słabeuszy. Taki sfalsyfikowany rodowód pozwalał nakręcać uczucia pogardy dla skarłałych rzekomo fizycznie i moralnie rodaków, nie potrafiących strząsnąć ze swych barków żydowskich i katolickich pijawek.

Ta rekonstrukcja wije się jednak krętą linią, bo już po paru stronach poświęconych mitologizacjom pogańszczyzny, autorka porzuca temat i w podrozdziale „Przeżuwacze kontra wojowie” zajmuje się technikami deprecjacji polskiej literatury i jej autorów przy pomocy skojarzeń kulinarnych oraz anatomiczno-seksualnych (np. obrazy wynaturzeń czy obsesji). Mówiąc zwięźle, pokazuje ona, jak na łamach „Zadrugi” dokonywano systematycznych egzekucji na współczesnej jej poezji i prozie polskiej, które szkalowano tyleż brutalnie, co i pryncypalnie, ale bez podawania żadnych rzeczowych argumentów. Tu godzi się przypomnieć kilkakrotnie w tej pracy artykułowaną opinię, że klasycznie rozumianej krytyki literackiej oraz twórczości oryginalnej „Zadruga” właściwie nie uprawiała z powodu braku tego typu kompetencji i aspiracji, bo było to środowisko na wskroś polityczne. Co zatem mają do tego wspomniane na początku tego podrozdziału fantazje na temat bohaterskiej Słowiańszczyzny? Jak wynika z dalszej części, wpisywane one były przez zadrużan właśnie w literaturę, która zatem nie mogła być sprawą aż tak niszową, skoro Frąckiewicz poświęca tej kwestii kolejne 40 stron (opisy tych „fantazji słowiańskich” konkretyzują się dopiero około strony 280). Jak pisze autorka, na ogół przybierały one formę grafomańskich hymnów czy pieśni pochwalnych, podpierających się średniowiecznym metrum intonacyjno-zdaniowym czy wprost wchodzących w tonacje religijne (co było wbrew ich własnemu programowi). Autorzy „Zadrugi” zachwalali wspaniałość wspólnotowego modelu pogaństwa, w którym wyróżniali się słowiańscy woje-wilki i ich kobiety-wilczyce, wietrzący za „krasną krwią”. Nie

brakuje w ich tekstach także postaci przypominających Wotana czy Odyna oraz wizji krwawych rozpraw z wrogiem, zdradzających ekscytację spod znaku *delectatio morosa*. Zadróżanom chodziło bowiem – pisze Frąckiewicz – o „wprowadzenie czytelnika w trans retro-archaicznej identyfikacji” i zbudowanie kultu wojownika gotowego do zwycięskiej ekspansji. Mówiąc krótko, bliżej tu było „Zadrudze” do mitów nordyckich czy germańskich niż do tradycji słowiańskiej idylli, bo chodziło wszak o wyposażenie jej w przysłowiowe kły i pazury oraz wmówienie czytelnikom instynktu inwazji. W tym miejscu możemy też zamknąć rekapitulację obrazu publicystyki „Zadruży”, jaki zaproponowała w swojej pracy mgr Frąckiewicz. I to jest też moment, w którym wypada przejść do uwag i komentarzy.

Zacznę od sprawy, która może wydawać się mało znacząca, bo chodzi o podtytuł dysertacji: „Wyobrażenia polityczna grupy literackiej „Sztuka i Naród” i ruchu „Zadruża”. Moim zdaniem, taka formuła ukrywa istotny problem całościowy. Po pierwsze, obliguje ona autorkę do odsłonięcia mechanizmów i znaczeń politycznych **w całej twórczości** SiN-u (z naciskiem na „literacką”). Bo tak też kwalifikuje ona tę grupę (jako literacką, a nie np. jako Ruch Kulturowy, co byłoby bliższe np. Trzebińskiemu). Tymczasem praca została poświęcona wyłącznie publicystyce tej grupy, która jest **najsłabszą częścią dorobku twórczego członków tej grupy**. Nawet sama autorka w kilku miejscach zaznacza, że byli oni bardziej utalentowani jako pisarze (poeci, dramaturdzy, prozaicy) niż jako ideolodzy czy publicyści, od czasu do czasu podkreślając literackie walory publicystyki SiN-owców. Nie inne. Jako obserwator z tylnego rzędu, pokusiłbym się nawet o tezę, że tych talentów publicystycznych specjalnie nie wykazywali. Jako ideolodzy wyraźnie świecili światłem odbitym i nie przedstawiali czytelnikom własnych wizji politycznych, ale swego mocodawcy czyli Konfederacji Narodu. A skoro tak, to dziwne jest, że autorka nie spróbowała pokazać, w jaki sposób **w ich wierszach, prozie i dramatach** przejawiała się ta interesująca ją wszak – wyobrażenia polityczna. A przejawiała się! Na przykład w dramacie „Aby podnieść różę” Trzebińskiego, w prozie Bojarskiego („Pożegnanie z Mistrzem”), czy wreszcie w „Misterium niedzielny” Gajcego (groteska o praniu mózgów społeczeństwa za pomocą kazań kościelnych, bredni ludowych proroków i obwieszczeń władzy). Nikt nie ośmielił się powiedzieć, że utwory te są wolne od intencji politycznych. Zresztą nawet niektóre liryki miłosne czy piosenki jasno zdradzają ideową orientację ich autorów. Jest zatem dziwne, że to wszystko pozostało poza burtą tego analitycznego przedsięwzięcia. Dlaczego tak się stało? Bo było to zadanie trudniejsze? Przypuszczalnie tak, ale pozwolę sobie mniemać, że umiejętności interpretacyjne, wykazane przez autorkę w analizach publicystyki, predystynowały ją również do zmierzenia się z politycznymi treściami ukrytymi w wierszach, formach dramatycznych i w prozie. Szkoda, że tak się nie stało.

Skoro jednak wyszedłem od podtytułu, wypada mi jeszcze raz do niego na moment powrócić. Czy tutaj chodzi o „wyobrażenie polityczne” czy tak naprawdę o **jej językowy obraz**? Mam podejrzenie, że ona sama jest raczej zbiorem projekcji czy politycznych scenariuszy, a zatem swoistym „katalogiem” możliwych lub realizowanych urzeczywistnień, autorce natomiast chodzi o utrwalony w języku konterfekt tego typu projektów ideowych, a przede wszystkim środków perswazyjnych, które mają za cel pozyskanie zwolenników i wykonawców tych idei. Sądzę, że to ten właśnie wymiar tak naprawdę ją interesował i w nim właśnie ulokowała swą analityczną ambicję. Nie będę się w to wgłębiał, sygnalizuję jedynie, prosząc o przemyślenie tej kwestii. Formuła tytułowa jest w końcu istotna.

W tym miejscu wypada mi powrócić (zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią) do dyskusyjnej moim zdaniem kwestii zasadności obecności „Zadruży” w tym

opracowaniu, a po drugie miejsca, w jakim analiza jej dorobku została usytuowana w tej dysertacji. Najpierw zajmijmy się punktem pierwszym. Autorzy „Sztuki i Narodu”, a już na pewno jej redaktorzy, byli członkami Konfederacji Narodu, a zatem wojennego przedłużenia ONR Falangi. Ich publicystyka mieści się całkowicie w polu oddziaływania tych organizacji, a swoje pismo traktowali oni (podobnie jak ich „sponsorzy”) jako organ literacki KN. Na jego łamach gościli jako „partyjni” patroni Włodzimierz Pietrzak, o. Józef Warszawski, a Onufry Konopczyński był założycielem i pierwszym redaktorem „SiN-u”. Wszyscy oni byli aktywnymi działaczami ONR-u i autorami jego periodyków. Już to tylko obligowałoby do wyboru, jako punktu odniesienia dla ich periodyku, takich pism, jak „Prosto z Mostu”, „Falanga”, „Szczerebiec” lub „ABC”. Z prostego i oczywistego powodu: istniały z nimi realne związki i zależności. Natomiast „Zadruga” nie była dla SiN-owców żadnym punktem odniesienia – zarówno z powodu egzotycznej koncepcji neopoganizmu, jak i jej intelektualno-artystycznej słabości. Jej sąsiedztwo jest tu mało zasadne, bo poza wspólnym dla wszystkich ugrupowań nacjonalistycznych zestawem celów (aspiracje mocarstwowe, kult monolitycznego narodu, apologia zmytyzowanej przeszłości, tępienie mniejszości narodowych, aspiracje wodzowskie itp.), a także zbiorem językowych technik dyskredytacyjnych, brak pomiędzy tymi czasopismami bliższych związków, a już na pewno jakiegokolwiek pokrewieństwa. Ustawienie zatem „Zadruży” w roli punktu odniesienia jest pomysłem odrobinę księżycowym. To tak jakby badacz historii oręza, chcąc pokazać specyfikę szabli polskiej zestawiał ją toporem. Owszem, jedna i druga służyła do zabijania w boju, ale w różnych okresach, a zasada ich działania i sposoby używania były odmienne. Uważam więc, że o wiele więcej pożytku poznawczego przyniosłoby porównanie i zestawienie ze sobą publicystyki politycznej (a także twórczości oryginalnej) „Sztuki i Narodu” z tekstami na łamach wymienionych wcześniej pism. A już **na pewno w pełni adekwatnym wyborem byłoby zestawienie jej z twórczością powstałą w środowisku Unii**, wywodzącej się z przedwojennego pisma „Zet” (1932-39), wydającej w czasie okupacji czasopismo „Kultura Jutra” (1943-44). Zarówno ideowo, jak i ilościowo byłby to materiał idealny do porównania, zwłaszcza że pomiędzy redakcjami istniały realne kontakty i polityczno-artystyczne korespondencje (współredaktorem „Kultury Jutra” był Jerzy Zagórski, należący również do środowiska SiN-u; teksty np. Gajcego ukazywały się na jej łamach, a jakby nie dość tych związków, publikowano tam na bieżąco recenzje konspiracyjnych tomików młodych twórców m.in. Gajcego, Baczyńskiego, Borowskiego). Jakby mało tego, potencjał intelektualny oraz artystyczny „Kultury Jutra” był bliski potencjałowi talentu ujawnionego przez prawicowych liderów pokolenia wojennego. Nieraz go nawet przewyższał, zwłaszcza na płaszczyźnie filozoficznej. To wszystko przekonuje i dowodzi, że **właściwym polem odniesienia dla „Sztuki i Narodu” oraz jej twórczości był organ Unii**, a nie obca zarówno okresem funkcjonowania, koncepcjami, diagnozami, jak i poziomem „Zadruży”.

A teraz punkt drugi, dotyczący tym razem miejsca „Zadruży” w tym opracowaniu. Jak pamiętamy, pierwsza połowa pracy (ok. 150 stron) została poświęcona analizie dorobku publicystycznego „Sztuki i Narodu”, który powstał w pierwszej połowie lat czterdziestych, a zatem w czasie okupacji; część druga dotyczy „Zadruży” (ok. 160 stron), aktywnej u schyłku Dwudziestolecia. Czyli mamy tu kolejność odwrotną. Przyznam, że ta decyzja wprawia mnie w konfuzję. Próbuje zrozumieć logikę tej kompozycji, ale jej nie przenikam. Co najwyżej przychodzi mi do głowy, że to wpływ jednej z obecnych literaturoznawczych „mód”, niechętnych chronologii i relacjom „dziedzicznym”, uznawanym w niektórych kręgach badaczy za „mało intelektualne”. Ale jaki jest konkretny profit z tej odwróconej kolejności? Ustawienie publicystyki SiN-u na pierwszym miejscu

wskazuje, że to część zasadnicza. W taki razie czym jest, usytuowana po niej, analiza koncepcji politycznych „Zadruży”? Rodzajem aneksu? Mam niejasne podejrzenie, że układ chronologiczny byłby dla autorki kłopotliwy, bo eksponowałby dowolność zasady zestawienia obu tych pism (wtedy musiałaby ona skupić się na filiacjach i punktach stykowych). Mamy tu więc stojące obok siebie dwa światy, zdecydowanie sobie obce (poza ogólną orientacją nacjonalistyczną i jej ulubionymi metodami oddziaływania społecznego), podczas kiedy na horyzoncie, w dalekim tle, mającą bliscy krewni tej prawicowej „rodziny”.

Inna kwestia, która mnie nieco frasowała w trakcie lektury pracy mgr Frąckiewicz, dotyczy wrażenia nieobecności czy niskiej obecności tła historycznego. A przecież kontekstem tego wszystkiego, co pisali SiN-owcy, była okupacja, a w ich rodzinnym mieście codziennie zabijano (publicznie i skrycie) od kilkunastu do kilkudziesięciu osób. Sytuacja psychologiczno-poznawcza młodzieńców z tej grupy była zatem zdecydowanie odmienna od sytuacji autorów „Zadruży”. Zwracam na to uwagę, bo to tło jest naprawdę słabo w tej pracy zaznaczone, jakby operacje intelektualne podejmowane i wykonywane pod lufami plutonów egzekucyjnych miały ten sam wymiar, co polityczne rozważania snute w gabinetach i kawiarniach wolnego i bezpiecznego kraju (sytuacja „Zadruży”). Jestem pewien, że jakaś część emocjonalności i nerwowości dyskursu SiN-owców wynika z tej sytuacji. Ich skłonność do wielkich słów i ryzykownych uogólnień, ich bezpardonowe artykułowanie własnych racji, ostrość oglądu sytuacji, a także możliwych perspektyw, pośpieszność oraz powierzchowność argumentacji (o czym autorka na szczęście wspomina), myślowe drogi „na skróty”, wewnętrzne „nakręcanie się” i skrajność sądów w polemikach literackich (często nieproporcjonalna do rzekomych „win” oskarżanych pisarzy) – to wszystko składowe lub pochodne życiowej sytuacji tych młodzieńców. Nie znam badań naukowych dokumentujących wpływ doznań ekstremalnych (a stałe zagrożenie życia do nich należy) na stabilność systemu transmisji poglądów, ale mam wrażenie, że twórczość tego pokolenia jest dowodem na to, że takowy istnieje.

Kiedy czyta się ok. 150 stron raportu mgr Frąckiewicz z tego wytrwałego śledztwa, mającego na celu ujawnienie antydemokratycznych trucizn ukrytych w artykułach tych prawicowych młodzieńców, odczuwa się momentami jej uczucie satysfakcji, gdy dociska ich do muru i demaskuje. Nie miałbym kłopotu ze wskazaniem miejsc, w których stosuje ona nawet publicystyczne chwytły swoich bohaterów (ironia, podejrzliwość, deprecjacje, ujawnienia, cienkie parodie, tony prokuratorskie itp.), streszczając ich poglądy tak, by zdezwuować ich pokrętność myślenia, intelektualną obłudę i polityczne zakłamanie. Jestem w stanie to zrozumieć, bo to rodzaj badawczego dochodzenia, którego zasadności nie sposób podważyć. A tropienie podejrzanych to skok adrenaliny i podwyższony stan ducha. To wszystko rozumiem i nie kwestionuję, ale myślę, że autorka mogłaby sobie pozwolić od czasu do czasu na pewną ilość empatii. Ci autorzy nie żyli i nie funkcjonowali (jako twórcy i kandydaci na polityków) w normalnych warunkach, a jeśli przyjąć, że był to czas ludzkiego piekła, wskazana byłaby większa dystynkcja w zaznaczaniu jego roli i znaczenia. Tym bardziej, że druga połowa pracy poświęcona jest politycznemu pisarstwu grupy działającej poza jakimkolwiek ciśnieniem opresji, a jej obecność zachęca siłą faktu do symetryzacji. Tymczasem wyobraźnię obu tych środowisk formowały dramatycznie inne rzeczywistości.

Na koniec pozwolę sobie na parę drobnych uwag o charakterze warsztatowym. Pierwsza dotyczy dublowania tych samych treści w cytatach i ich omówieniach. Przy tej sprawności i precyzji językowej, jaką prezentuje doktorantka, jest to kwestia dość subtelna, bo zapewne ma ona za każdym razem wrażenie, że to są „oddzielne” komentarze tych cytatów, a nie ich powtórzenia czy streszczenia. W rzeczywistości sprawa jest bardziej zagmatwana. Te

rekapitulacje, dopełnienia czy wzmocnienia wprowadzają inną perspektywę lub oświetlenie, niemniej *de facto* pozostajemy w obrębie tej samej sprawy. Nie ukrywam, że w lekturze to często nuży, bo przywoływane cytaty są wybrane adekwatnie, więc rozumny czytelnik w lot „chwytą” istotę przekazu, ale po chwili musi jeszcze przejść u autorki dodatkową „lekcję” jakby istniało ryzyko, że pojął go nie dość jasno. Z jednej strony to drażni, bo wykształcony czytelnik nie chce, by mu wykładano coś, co jest dla niego dostatecznie klarowne, a z drugiej go nuży, bo rzecz jest mu już znana w pierwszym odbiorze. Mam oczywiście świadomość, że jest to wynik akrybii, bo doktorantka chce wykazać, że perfekcyjnie dociera do nieoczywistych lub ukrytych warstw tekstów, ale sugerowałbym, by podczas przygotowywania książkowej wersji tej pracy poskromiła swoje zapędy w objaśnianiu cytatów. Podobnie sugerowałbym eliminację wątków powtarzających się w różnych miejscach pracy w ramach nawiązań (np. nie trzeba czytelnikowi po kilka razy wyjaśniać, co to jest uniwersalizm lub kim byli dla SiN-owców „panowie intelektualisci”).

Druga kwestia warsztatowa dotyczy pewnej ilości zdań, na szczęście niedużej, które z powodu jakiejś skazy (np. składniowej) nie niosą tych treści, jakie przynosić powinny. Przywołam konkretny przykład (istotny, bo dotyczy próby definicji): „Wyobraźnię polityczną danej grupy rozumiem jako pewnego rodzaju całość, objawiającą się w serii tekstów, nie tylko jako pojawiające się w dyskursie poszczególne obrazy metaforyczne, które można analizować w ich specyficznym „inwentarzowym” układzie, tak jak on się przedstawiał w rozpatrywanych z osobna tekstach konkretnych autorów” (s. 14). W moim odczuciu, zdanie to jest niekompletne składniowo, bo informuje nas, że wyobraźnia to NIE TYLKO „obrazy metaforyczne”... A skoro „nie tylko” one ją tworzą, to co również? Jestem oczywiście w stanie przyjąć, że w przekonaniu czy intencji autorki ta definicja brzmi następująco: „wyobraźnia polityczna to nie tylko osobne obrazy systematyzujące materię, ale też pewna całość organizująca sposób myślenia wielu autorów - i ich sposób pisanie”. Przyznam jednak, że wtedy odkrywczość tak brzmiącej formuły byłaby raczej niska.

Wiemy, że tego typu lapsusy (o ile to faktycznie lapsus) zdarzają się każdemu, ale nie powinny się pojawiać właśnie w definicjach i zdaniach kluczowych (np. podsumowaniach). Nie ma na szczęście takich wpadek zbyt dużo, więc wszystkie je pewnie wychwyci redaktor wydawniczy, ale wiedząc jak dramatycznie obniżył się poziom tych usług, lepiej samemu wytropić wszystkie takie miejsca. Nie zaznaczałem tych miejsc na bieżąco, więc nie mogę sypnąć numerami stron.

Nieco innych (myślowych lub językowych) rewizji wymagają trzy ostatnie już tutaj kwestie. Primo. Nie zgadza się z moją wiedzą pogląd autorki, że „język SiN-u pod koniec istnienia pisma tracił swój specyficzny walor literacki, który był świadectwem niewątpliwego talentu artystycznego takich redaktorów jak Bojarski, Trzebiński czy Gajcy” (s. 183). Lektura całego kompletu numerów tego pisma jasno dowodzi czegoś wręcz odwrotnego: im bliżej Powstania, tym mocniejszy w nim staje się „sektor” literacki a słabnie polityczny (zwłaszcza pod redakcją ostatniego redaktora). Uprawnione jest nawet podejrzenie, że Gajcy w pełni świadomie odsuwał ten periodyk od wpływu KN, przekształcał dyskretnie w pismo literackie, drukując coraz więcej tekstów artystycznych i otwierając go na inne środowiska. Nie mówiąc już o tym, że w swojej liryce znalazł się na antypodach wzorców, które lansowało jego pismo.

Secundo: na stronach 75-78 autorka omawia i kilkakrotnie cytuje „Wroga ludu” Ibsena, posługując się przekładem Cecylii Wojewody, podczas gdy Trzebiński i Bojarski na pewno posługiwali się przedwojennym przekładem Wacława Berenta, który był wykorzystywany jeszcze po wojnie w inscenizacjach teatralnych. Warto to zmienić.

Tertio. Sugerowałbym autorce wejrzenie w zdanie, które informuje nas, że Jozue, dzięki „układowi” z Jahwe, „zapewnił Żydom zwycięstwo nad Izraelem” (108). Nie chciałbym się kreować na biblistę, ale moja pamięć z lekcji religii zachowała wersję, w której Jozue wraz z synami Izraela pogromił, zamieszkałych w górach, królów Amorejskich.

Zbliżając się do konkluzji, chciałbym powiedzieć, że zwykle trudno zadowolić recenzenta, który zajmował się daną problematyką, bo podświadomie staje się „rywalem” autora. Otóż czytając pracę mgr Frąckiewicz nie odczuwałem nawet cienia takich uczuć, a nawet wręcz przeciwnie: byłem zbudowany, że tak metodycznie i nieustępliwie rozszyfrowuje sekrety nacjonalistycznego dyskursu „SiN-u” i „Zadruży”, że umiejętnie odsłania ich językową i emocjonalną perfidię (bo chodziło wszak o ukrywanie swoich prawdziwych intencji i budowanie nienawiści wobec politycznych przeciwników), że tak starannie kompletuje i opisuje jego składowe, chcąc ukazać nam całą maszynię tego nacjonalistycznego projektu (choć analizuje dwa różne przedsięwzięcia). Oczywiście po ostatnich stronach, zawierających uwagi, każdy komplement musi zabrzmieć nieszczerze lub sprawić wrażenie niekonsekwencji. Ale nie ma dobrego miejsca na uwagi, bo gdzieś się musi dla nich znaleźć miejsce (wszak trudno je umieszczać w przypisach). Wiadomo, że autorka musiała dokonać pewnych wyborów, tak jest zawsze, więc wybrała jak wybrała, a zawsze jest jakaś cena takich decyzji. Moje uwagi nie zmieniają jednak faktu, że tę rozprawę cenię i uważam za produkt dociekliwego umysłu i dobrego warsztatu. Mgr Frąckiewicz jest bez wątpienia ważnym i dojrzałym intelektualnie historykiem literatury, który ma przed sobą obiecującą przyszłość naukową oraz ważne książki do napisania. Jej rozprawa doktorska jest propozycją poważną i porządnie uargumentowaną, a przy tym ciekawą i społecznie ważną, bo przynosi wnikliwy wgląd w zaawansowane techniki językowego i psychologicznego oddziaływania, jakimi operują politycy i ideolodzy formacji prawicowych. Odsłanianie ich pokrętnych mechanizmów do sztuk łatwych nie należy, bo politycy sprytnie zasłaniają braki i pułapki swoich doktryn, które nieraz są wydmuszkami lub puszkami Pandory, więc to, czego nazwać jasno nie chcą, przykrywają napuszczonym wielosłowiem i metaforyczną innowacyjnością. Każdy czytelnik tej książki, śledząc – za autorką – metody ich oddziaływania na czytelnika 80 i 86 lat temu, zapewne nieraz poczuje się nieswojo, bo nawet rzut oka do aktualnej prasy lub internetu, przekona go, że ich „warsztat” zasadniczo się nie zmienił.

Z silnym przekonaniem, że obrona tej rozprawy doktorskiej otworzy piękną kartę kariery wiele obiecującej i uzdolnionej badaczki, wnioskuję o dopuszczenie mgr Igi Frąckiewicz do dalszych etapów przewodu doktorskiego, a zarazem o wyróżnienie jej pracy nagrodą.

Wrocław 30.01.2024